

BEATA MAJEWSKA



*Baśni*

MIRAZ



*Bašnik*

# *Spis treści*

*Styczeń*

*Luty*

*Jak to jest, że najdłużej pamiętamy słowa, które padły z ust kogoś, kto już nigdy nie wypowie ani jednego?*

*Gdy zamykam oczy, znów słyszę, jak mówi do mnie:*

*„Żyj... Śmieję się, płacz, krzycz, kochaj, nienawidź, walcz, czuj i rób, co chcesz...”*

*Czy warto się bać? A może powinnam poddać się fali szczęścia i cieszyć chwilą, choćby miała trwać bardzo krótko i przynieść ze sobą żal, że ją utraciłam? A może żadnej straty nie będzie? Chyba lepiej choć przez moment być tak naprawdę bardzo szczęśliwym, aż po koniuszki palców i najgłębiej jak można, niż całe życie drżeć ze strachu przed ewentualną porażką? Rozczarowaniem?*

*Wreszcie zrozumiałam.*

*Każdy, nawet najśłabszy błysk radości powinien być dla nas cenny. Choćby przez to, że jest taki ulotny. Trzeba się spieszyć, brać życie garściami, bo wystarczy chwila i stracimy szansę na bycie szczęśliwymi. Na bycie w ogóle. Zbyt krótko tu jesteśmy i zbyt szybko mijają nasze dni, aby je marnować na zbędne analizy potencjalnych zysków i zagrożeń.*

*Jutro pojedę na cmentarz, ale nawet wtedy nie przestanę być szczęśliwa. Wrócę do domu, do dzieci i nadal będę szczęśliwa. Muszę taka być. Dla nich, dla siebie i dla ciebie, Kruszynko-Niespodzianko. Koniec ze strachem. Wiem, że kiedyś twój tatuś przyfrunie na swoich skrzydłach, żeby cię zobaczyć. Wiem, że tak będzie. Nie wiem tylko kiedy.*

*A teraz przykładam dłoń do brzucha i czuję, że nie jestem sama. W takiej chwili nawet łyż mają słodki smak. I to jest właśnie szczęście...*

## Styczeń

– Sprawnie poszło – stwierdził Jurek, stojąc na korytarzu Sądu Okręgowego w Krakowie, i z zadowoleniem zatarł ręce.

– Owszem – potaknęła jego była żona, zerkając na złoty zegarek, który otrzymała od teściowej z okazji dziesiątej rocznicy małżeństwa z jej ukochanym syneczkiem.

Byłego małżeństwa.

Wystarczyły dwadzieścia dwie minuty, żeby rozwiązać coś, co trwało prawie osiemnaście lat. Brakło raptem czterech dni.

– Pani Maksymowska... – Prawnik Jerzego uśmiechnął się kurtuazyjnie do Barbary, która formalnie nie była jego klientką, ale w praktyce ją również reprezentował, zwłaszcza gdy Maksymowscy załatwiali kwestie majątkowe i dogadywali się, gdzie zamieszka Karolina, ich jedyne jeszcze niepełnoletnie dziecko. – Przypominam, jeśli chce pani zmienić nazwisko, oczywiście jest taka moż...

– Nie chcę – przerwała mu. – Czy to wszystko? – Popatrzyła pytającym wzrokiem na obu mężczyzn.

– Z mojej strony tak – odparł mecenas Kopeć, myśląc o kolejnej sprawie rozwodowej, którą miał za niecałą godzinę.

– Z mojej również – powtórzył po nim Jurek, jeszcze raz uznając w duchu, że zachował się nad wyraz wspaniałomyślnie.

Zostawił żonie nie tylko piękną willę na Salwatorze, ale i jeden z najlepiej prosperujących klubów fitness oraz całkiem pokaźną sumkę na koncie. „Na zagospodarowanie”, jak to powiedział tego samego dnia, gdy już oficjalnie oświadczył, że chce rozwodu.

Uznał, że alimenty na byłą żonę nie są potrzebne, skoro Barbara miała jednorazowo otrzymać równowartość pięcioletniego przeciętnego wynagrodzenia. Poza tym klub MEGA, który na nią przepisał, też przynosił dochód, i to wcale niemały.

– To do widzenia panom. – Baśka lekko skłoniła głowę.

Szybko założyła rękawiczki, żeby eksmąż broń Boże nie próbował pocałować jej w dłoń na pożegnanie, odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku wyjścia z sądu. Trzymała się do chwili, gdy zamknęła za sobą drzwi samochodu. To też był prezent, ale na piętnastą rocznicę ślubu, więc całkiem świeży. Basia lubiła ten samochód. Był niewielki, ale wygodny i dosyć kosztowny, co Jurek wyraźnie podkreślił, gdy wręczał jej kluczyki do białego peugeota. Podobał się jej nawet wtedy, gdy dowiedziała się, że Andżelice niedawno kupił taki sam model, choć w krwistoczerwonym kolorze. Widocznie Jerzy Maksymowski uznał, że to dobry wóz, skoro sprezentował go zarówno byłej żonie, jak i przyszłej.

Basia włączyła ogrzewanie, wsparła czoło o kierownicę i wreszcie pozwoliła sobie na chwilę słabości. Płakała, ocierając łzy rękawem płaszczka i pociągając rozpaczliwie nosem. Bała się. Jeśli ktoś spytałby czego, odparłaby, że wszystkiego. Dla niej życie właśnie się skończyło. Gdyby nie dzieci, nie miałyby sił, żeby wstać z łóżka. Tylko myśl o nich trzymała ją w ryzach i choć Adrian był już dorosły i daleko stąd, a Karolina zdecydowała, że zamieszka z ojcem, i tak dzieci stanowiły jedyny powód, żeby trwać, budzić się rano, a czasami nawet coś zjeść.

Dryń... Dryń...

Baśka podskoczyła jak dźgnięta nożem. Z niechęcią oderwała czoło od kierownicy, wierzchem dłoni otarła nos i sięgnęła do torebki po telefon. Zerknęła na ekran i od razu szybko zamrugała i odchrząknęła parę razy, żeby jej głos nie zdradził, że przed chwilą płakała.

– Hej, Karusiu – przywitała się z córką.

– Beczałaś – sarknął młodzieńczy tembr po drugiej stronie słuchawki. – No i po co? Przecież nikt nie umiera. Już po rozprawie?

– Uhm.

– Wszystko w porządku? Chodzi mi o ten sąd i tak dalej.

- Tak.
- To dobrze. A tata?
- Karusiu, jeśli chcesz się dowiedzieć, co u taty, zadzwoń do taty – skwitowała Barbara, bo nie miała najmniejszej ochoty mówić o byłym mężu.
- Nie fochaj się tak.
- Nie focham się – odpowiedziała, pilnując, żeby jej głos zabrzmiał znacznie sympatyczniej niż przed chwilą.
- Wpadnę do ciebie jutro po szkole. Okej?
- Jasne, że okej. Jest piątek, zrobię pierogi z truskawkami. Chcesz? – spytała Baśka.

Liczyła na to, że ucieszy córkę, bo ta od dziecka uwielbiała kluski i pierogi, zwłaszcza na słodko. Napychała się nimi, czasami zjadając więcej niż Jurek i Adrian razem wzięci. Teraz, gdy od dwóch tygodni mieszkała z ojcem i jego dziewczyną, raczej mogła zapomnieć o mącznych daniach. Andżelika była instruktorką fitness oraz dietetyczką i aż do przesady dbała o linię, więc i jej domownicy musieli się do tego dostosować i żywić wyłącznie daniami fit.

- Pierogi? – rozmarzyła się Karolina, ale od razu przypomniała sobie słowa Andżeli o wysokim indeksie glikemicznym mąki pszennej i odeszła jej wszelka ochota na „kluchy”. – Może jednak zrób coś innego. Sałatkę z kurczakiem albo jakąś rybę na parze?

- Może być ryba – potaknęła Baśka, od razu domyślając się, skąd taka decyzja.

- Mamo, muszę kończyć, właśnie zaczęła się lekcja. Jutro pogadamy. Pa – pożegnała się, nie czekając na odpowiedź.

- Pa, córciu – szepnęła Baśka do siebie.

Włożyła telefon do torebki, zerknęła do wstecznego lusterka, żeby skontrolować makijaż, i powoli wyjechała z oblodzonego parkingu. Całą drogę do domu kolejny raz analizowała, kiedy popełniła błąd. Nie potrafiła pogodzić się z faktem, że Karolina wybrała zamieszkanie z ojcem. Miała takie prawo, bo wkrótce kończyła osiemnaście lat i sama mogła określić, z kim zostanie po rozwodzie rodziców.

Baśka była pewna, że z nią i gdy poznała decyzję córki, strasznie ją to przybiło. Nie potrafiła sobie poradzić z żalem. Na dodatek Karolina poinformowała matkę o swojej wyprawie w trakcie wieczery wigilijnej, co było dla Baśki dodatkowo przykre.

Postanowiła na nią wpłynąć, uprosić Karolinę, żeby została. Kilka dni przygotowywała się do tej rozmowy, gromadząc argumenty: „Często się kłóciłyśmy, ale to przecież normalne. Córki rzadko potrafią dogadać się z matkami, zwłaszcza te dorastające, ale to nie powód, żeby uciekać, gdy tylko jest okazja”. Tłumaczyła cierpliwie: „Tata będzie mieszkał z nową panią. Nie znasz jej, a ona nie zna ciebie. A co, jeśli się nie dogadacie?”. Roztaczała przed córką niezbyt optymistyczne wizje, że nowa żona może być zazdrosna o tatę, że nie będzie się troszczyć o Karolinę. Gdy Jurek się o tym dowiedział, nie był zadowolony. Zrugnął Baśkę za to, że straszy dziecko i stwierdził, że Andżela i Kara z pewnością świetnie się dogadają, bo obie są młode i nawet mają nieco podobne charaktery.

Tego było już zbyt wiele. Baśka wreszcie posłuchała Lilki, swojej jedynej, ukochanej przyjaciółki, i umówiła się z jakimś jej znajomym psychiatrą. Doktor Prus wysłuchał uważnie pacjentki, przepisał jej dwa leki stosowane w leczeniu depresji, dołożył witaminy oraz coś ziołowego, polecił ruch na świeżym powietrzu i stwierdził, że tu potrzeba tylko i wyłącznie czasu.

„Żeby to było takie łatwe” – pomyślała Basia, opuszczając gabinet.

Minął tydzień, a ona nie czuła się nawet odrobinę lepiej. Wręcz odwrotnie. Czuła się coraz gorzej...



*Drogi Pamiętniku, a raczej zeszycie w kratkę, kupiony w Auchan.*

*Powinieneś podziękować Lilce, bo to ona kazała mi cię (a może Cię?) założyć. Nie wiem, dlaczego jej posłuchałam. Czuję, że jutro wyrwę tę kartkę i spalę w kominku, ale to dopiero jutro, gdy już wyschnie. Dzisiaj jest zbyt mokra od moich łez.*

*Nic mi się nie chce.*

*Jedyne, co we mnie żyje, to strach, że to już koniec mojego życia, mnie samej.*

*Jedyne, co robię, to płaczę. Przystaję tylko wtedy, gdy Karolina mnie odwiedza.*

*Przeczytałam artykuł o tym, jak radzić sobie ze śmiercią partnera.*

*Nie, Jurek nie umarł, ale umarła jego żona.*

*Smutek, poczucie straty, dezorientacja i niepewność – odczuwam każde z nich. Jestem w żałobie po żonie Jurka. Chcę spać i obudzić się dopiero wtedy, gdy wszystko zapomnę, problemy znikną, a moje złamane serce nie będzie rozpadało się na kolejne małe kawałeczki.*

*Jestem nikim. To się zaczęło, gdy przestałam być sobą.*

*Gdzieś w trakcie mojego wygodnego życia zgubiłam samą siebie. Kiedyś miałam plany, marzenia, a przy Jerzym stałam się wyłącznie panią domu, jak na autopilocie wykonującą te same czynności, chuchając na domowe ognisko i szczęśliwą, gdy mój mąż albo jego matka rzucali mi od czasu do czasu jakimś ochłapem zainteresowania w postaci uwagi, że ładnie przybrałam dom na święta lub upiekłam smaczne ciasto.*

*Znikłam. Nie ma mnie.*

*I to wszystko. I nic jednocześnie.*



– Cześć. Jesteś w domu? – Głos Lilianny zabrzmiał wesoło.

– Hej. A gdzie mam być? – odpowiedziała Baśka, trzymając komórkę w lewej dłoni, bo prawa zajęta była ścieraniem niewidocznego kurzu z kuchennego parapetu.

– Nie wiem. Na zakupach? A może w klubie?

– Jestem w domu. Chcesz wpaść na kawę? – Domyśliła się, że przyjaciółka ma zamiar odbyć z nią kolejną pokrępiającą rozmowę.

– Nie tylko chcę, ale zaraz będę.

Baśka usłyszała w tle trzask zamykanych drzwi od samochodu. Odłożyła telefon, bo i tak Lilka już się rozłączyła, wrzuciła ścierkę

do zlewu i rozejrzała się niezbyt przytomnie po kuchni. Od rana sprzątała w całym domu. Robiła to dzisiaj, wczoraj, przedwczoraj i przedprzedwczoraj. Ostatnio głównie sprzątała, choć wykazywała jeszcze jeden typ aktywności, a raczej nadaktywności. W zeszłym tygodniu pojechała do supermarketu i zrobiła ogromne zakupy, które z wielkim trudem upchała w lodówce, tylko po to, żeby przez następne dni systematycznie wyrzucać popsute jedzenie.

W ten poniedziałek znów odwiedziła Auchan. Po powrocie ugotowała wielki gar gulaszu i drugi podobny bigosu. Podzieliła dania na mniejsze porcje i zostawiła w zamrażarce na bliżej nieokreślone „kiedyś”. Kiedyś, gdy znów będzie mogła jeść. Gdy Karolina zapowiedziała się z wizytą, Basia wyjęła jeden pojemnik, podgrzała zawartość i po prostu podała córce, nie bacząc, czy jej odpowiada menu, czy nie. „Nie chcesz, nie jedz” – skwitowała, widząc grymasy nad talerzem. Ostatecznie „córeczka tatusia” i „koleżanka Andżeli” zjadła wszystko i nawet poprosiła o dokładkę, twierdząc że bigos jest pyszny, i przy okazji informując mamę, że biała kapusta ma jedynie słuszny, czyli niski indeks glikemiczny, zwłaszcza gdy nie zagęszcza się jej zasmażką.

„Może poczęstuję ją tym bigosem” – pomyślała Baśka o przyjaciółce, która właśnie zadzwoniła do drzwi. – Otwarte! – krzyknęła dosyć głośno.

Chwilę później Lilianna wkroczyła do kuchni i od razu zamalała ręce.

– No i co ty robisz, dziewczyno? – Rozglądała się wokół i z dezaprobatą kręciła głową.

Kuchnia Baśki wyglądała jak plan filmowy programu o perfekcyjnej pani domu. Wszędzie leżały ściereczki: bawełniane i z mikrofibry, te na mokro i na sucho, do zlewu i do szyb. Butelki z płynami do czyszczenia wszelakich możliwych powierzchni stały na środku stołu, a tuż przy nim prężyły się piorący odkurzacz i mop rotacyjny. Nawet okna świadczyły o tym, że Baśka, zamiast sobą, zajmowała się wyłącznie sprzątaniem. Zdjęła firanki i zasłonki, chociaż były zupełnie czyste, bo przecież od świąt nie miały kiedy się zabrudzić. Mimo to Basia zdecydowała się

je wyprać, rozwiesić do wyschnięcia i wyprasować. Czekały na swój czas, przewieszone przez oparcia dwóch krzesel.

– Przepraszam. Zaraz to usunę. – Baśka chwyciła pęk firan i ostrożnie przełożyła je na ławkę pod oknem.

– Jezu! Babo, nie chodzi mi o te szmaty! – Lilka spojrzała w sufit, szukając cierpliwości i wsparcia w niebiosach. – Ty się widziałś w lustrze? – Złapała Baśkę za rękę i zaprowadziła do łazienki.

Stanęły przed umywalką. Basia nie miała szczególnej ochoty na podziwianie swojej skromnej osoby. Z niesmakiem popatrzyła na sprany dres; z równą niechęcią zarejestrowała bladą twarz i dziwny kokon zdobiący głowę, pewnie dlatego szybko przesunęła wzrok na przyjaciółkę: wymalowaną, z ułożoną fryzurą i w niezłych ciuchach.

Lilka od kilku lat prowadziła księgowość w firmie swojego męża Bogdana, bo dokumentów przybywało, utrudnień też, i Boguś „nie miał do tego nerwów”. Był zbyt zajęty kupowaniem kolejnych maszyn budowlanych i szukaniem zleceń, żeby jeszcze grzebać w papierach. Lilianna dopisała się do firmy jako osoba współpracująca i przejęła księgowość oraz kadry. Lata mijały i z małej jednoosobowej firemki Bogdana powstała całkiem przyzwoita firma budowlano-remontowa BOG-BUD z dwudziestopięciopięciopięcioroosobową ekipą pracowników i poważnym zapleczem sprzętowym.

Zanim to jednak nastąpiło, Lilianna pracowała w urzędzie skarbowym. Przychodziła do biura „zrobiona” na wysoki połysk: elegancki ciuch, fryzura, makijaż. Od kiedy pracę miała w domu, a jej biuro znajdowało się pod małżeńską sypialnią, też nie odpuszczała. Trzymała formę, mimo że nikt jej nie oglądał oprócz własnego męża i pracowników.

– Basiu, tak nie można. – Załamała rękę. – Popatrz, dziewczyno, na siebie.

– Sprzątam – odparła Baśka.

– I po co? Przecież sprzątałaś przed świętami.

– To było miesiąc temu.

– No właśnie. Jeszcze nie zdążyło się zabrudzić – stwierdziła Lilka, chwytając rękę przyjaciółki i pociągając ją, żeby razem mogły usiąść na brzegu wanny.

– To co mam robić? – szepnęła Baśka, opierając głowę o ramię Lilki. – Nie mam siły na walkę. Nie będę udowadniać Jurkowi, ile stracił, odchodząc ode mnie. Nie będę rozmyślać nad zemstą i ludzię się absurdalną nadzieją. Wystarczająco się upokorzyłam, prosząc Andżelikę o spotkanie.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz na wspomnienie tej rozmowy telefonicznej. Błagała nową kobietę Jerzego o godzinę, potem o pół, na koniec o kwadrans, ale Andżelika była nieugięta. W porywie rozpaczy Basia powiedziała, że Jurek ją kocha i wtedy usłyszała, że jest śmieszna i że powinna się pogodzić z faktami.

– Zapomnij o Jurku. Jego już nie ma. Trzeba wiedzieć, kiedy rozpocząć nowy rozdział. Musisz wyjść do ludzi. Jechać do klubu. Zająć się pracą. – Lilka równie bezlitośnie sprowadziła ją na ziemię. – Gdy ryba przestaje pływać, idzie na dno. Tego chcesz?

– Tam jest Anitka. – Basia z obrzydzeniem wypowiedziała imię pracownicy.

Anita Rojek była jedną z wielu kochanek Jurka. Prawie dwa lata trwał ich romans. Gdy w końcu znudziła się szefowi, na pociechę wepchnął ją na stanowisko menedżerki jednego z klubów. Dostała się Baśce z dobrodziejstwem inwentarza i chociaż naprawdę sumiennie wypełniała swoje obowiązki, nowa właścicielka klubu MEGA nie mogła na nią patrzeć.

– To ją zwolnij – podsunęła Lilianna.

– Zwolnić Anitkę? Ciekawe, jak sobie poradzę? Przecież nie mam pojęcia o prowadzeniu firmy. Zrozum, pewnych rzeczy nie da się ułożyć, wyprostować.

– Na pewno. Zwłaszcza gdy nie próbujesz.

– Nie mogę jej zwolnić. Ma umowę o pracę na czas nieokreślony. – Baśka dobrze pamiętała, co mówił mecenas Kopeć.

Ostrzegął ją, że nie może bez powodu rozwiązać umów z pracownikami zatrudnionymi przez Jurka, mimo że klub należał obecnie do niej i teraz to ona formalnie była ich pracodawcą.

– Wiesz co? Zaraz to załatwimy. Poczekaj.

Lilka przeleciała przez dom Baśki jak wicher, w kuchni odnalazła komórkę i przyniosła ją ze sobą do łazienki.

– Dzwon do tego chuja, niech zabiera tę swoją flamę, i to już! – Wcisnęła telefon w dłoń przyjaciółki. – Powiedz, że jutro ma jej tam nie być. Niech złoży wypowiedzenie jeszcze dzisiaj.

– Przestań. Nigdzie nie dzwonię. – Baśka odłożyła telefon na szafkę. – I nie mów o nim „chuj” – dodała po chwili namysłu.

– Okej. Sama zadzwonię.

Lilianna wzięła telefon i wybrała numer Jurka. Znali się lata, więc nie miała żadnych oporów, żeby się z nim rozprawić. Nigdy się nie bała męża przyjaciółki, wiedziała o wszystkich jego sprawkach, ale milczała, słuchając kolejnych Basinych historii o tym, jak sobie poczynił pan Maksymowski. Milczała do chwili, kiedy Basia powiadomiła ją, że Jurek złożył pozew o rozwód.

Wtedy tama pękła. Lilka wylała na Jurka wiadro pomysł, zrobiła to osobiście – spotykając się z nim w kawiarni i mówiąc mu szczerze i do bólu, co o nim sądzi i sądziła przez te wszystkie lata. Wysłuchał, pokiwał głową i z bezczelnym uśmiechem oświadczył, że skoro taki z niego potwór, to chyba dobrze się składa, że odszedł od żony.

– Poczekaj! – Barbara chwyciła ją za rękę. – Co chcesz zrobić?

– Powiem, że ma ją zabrać. To trzeba załatwić! Nie rozumiesz?!

– A zresztą, chcesz, dzwonić. – Baśka wzruszyła ramionami.

Było jej wszystko jedno.

– Halo? Jerzy? – Lilka przybrała oficjalny ton. – Tu Lilianna. Dzwonię, bo trzeba załatwić jedną sprawę. Chodzi mi o tę twoją Anitkę – powiedziała z przekąsem. – Proszę ją sobie zabrać!

Baśka wyróciła oczami. Już widziała, jak bardzo musiał wkurzyć się Jurek, gdy usłyszał w jej telefonie Lilkę, na dodatek stawiającą takie żądania.

– Jak to się nie da? Wszystko się da! Likwidacja stanowiska pracy! Słyszałeś o czymś takim? Dajesz wypowiedzenie, zamiast trzech miesięcy oczekiwania na jego upływ wypłacasz odszkodowanie i ekwiwalent za niewykorzystany urlop. I już. A gdy paniuszka będzie robić trudności, dorzuc jej coś ekstra, na przykład równowartość trzech pensji. Gwarantuję, że będzie zadowolona. Zresztą nie musisz jej zwalniać, po prostu przenieś ją do innego klubu. Swojego. A może Andzia ci nie pozwala? – zakpiła Lilka,

patrzac porozumiewawczo na przyjaciółkę. – Widzisz, mieszkamy na wsi. Kraków jest mały, tu wieści szybko się roznoszą. Lepiej załatwić to polubownie, niż wywlekać jakieś smrody. Jeszcze coś dotrze do noska Andżeliki. I po co to komu?

– Daj spokój – szepnęła Baśka, próbując bezskutecznie odebrać swój telefon.

– Uhm... Rozumiem. Świetnie – potaknęła Lilka, przy okazji strząsając z ramienia dłoń przyjaciółki. – To jesteśmy umówieni. Cześć. Aha! Pozdrów szanowną przyszlą małżonkę – dodała ironicznie.

– I co? – spytała Basia.

– Załatwione.

– Podał się bez walki?

– Widocznie argument ze smrodem dotarł i do niego.

– Świetnie.

– A dziękuję? – Lilka potar mosiła rozwichrzone włosy Baśki.

– Dziękuję. Zjesz bigos? – Podniosła szkliste spojrzenie na przyjaciółkę.

– Zjem. Nie rycz!

– Będę ryczeć – chlipnęła Baśka.

– No to rycz – westchnęła Lilka, biorąc ją pod ramię. – Ale najpierw daj mi ten bigos.



*Drogi Pamiętniku, dzisiaj o Anicie.*

*Zaskoczyła mnie.*

*Nastawiłam się, że będzie okropnie, i faktycznie tak było. Myślałam, że pojedę do klubu, podpiszę wypowiedzenie, a ona zrobi jakąś scenę. I zrobiła, ale nie taką, jak przewidywałam. Siadłam przy jej biurku, bo stwierdziła, że teraz to moje miejsce. Dała mi dokumenty, które sama przygotowała: świadectwo pracy i coś jeszcze (swoją drogą, jeśli Lilka nie pomoże mi z całym tym bajzlem, nie wiem, co pocznę), podpisałam, ona podziękowała i już miała wyjść, ale wróciła od drzwi i spytała, czy możemy chwilkę pogadać.*

Zgodziłam się.

Przeprosiła mnie. Powiedziała, że to było podłe z jej strony, ale ona naprawdę kochała mojego męża. Gdy opowiadała, jak Jurek ją uwodził, zabierał na randki, aranżował romantyczne spotkania, zarzucał prezentami i czułymi słówkami, które zawsze wyjątkowo gładko wychodziły z jego ust, czułam się, jakbym to ja była nią.

Obiecował, że się ze mną rozwiedzie, a Anita uwierzyła.

Zaczęła płakać. Spytałam, czy nadal go kocha, wtedy odpowiedziała, że go nienawidzi. Milczałam. Byłam pewna, że jej żal wynika z odrzucenia. Dobrze wiem, jak to jest. Już od miesiąca czuję się jak coś zbędnego. Prawdę mówiąc, chyba rzeczywiście jestem zbędna. Nawet nie mam kota. A tych kilka doniczkowych roślin mogłabym oddać komuś albo zanieść do kościoła. Ale przecież ja nie o tym...

Anita wyznała, że kiedyś usunęła ciążę. Nie musiała dodawać, kto był ojcem dziecka. Spytałam, czy Jurek wiedział, a ona odpowiedziała, że to było trzy miesiące przed wyborami, w których kandydował mój mąż, i że dał jej pieniądze na zabieg i wyjazd. Próbowalam odszukać w zakamarkach pamięci coś, co mogłoby przypomnieć mi te zdarzenia, i znalazłam. A raczej Karusia wtedy znalazła: bilet lotniczy i voucher dla Anity na dwutygodniowy pobyt w jednym z lepszych londyńskich hoteli, schowane w kieszeni tatusiowej marynarki.

Biedny Jurek. Naprędce wymyślił historyjkę o tym, jak to jedna z jego pracownic wybiera się do Londynu na targi sportowe. Byłam prawie pewna, że w ostatnim dniu okaże się, że on też musi pojechać z Anitą, ale tak się nie stało. Tego wieczoru, gdy jego kochanka wylatywała do Londynu, przyszedł do domu z wielkim bukietem kwiatów, wręczył mi go i podziękował za dwójkę wspaniałych dzieci. „Niech Bóg ma je w opiece, a mi wybacz” – powiedział, gdy położył się do łóżka po wieczornej modlitwie.

Do dzisiaj nie wiedziałam, dlaczego tak zrobił. Teraz już wiem. Boże, jak on mógł? Dlaczego? Nie potrafię zrozumieć.

Nie rozumiem siebie. Nie rozumiem Jurka. I Anity też. Nie miałam odwagi spytać, czemu się zgodziła. Bałam się, że usłyszę

tylko jedno: że to ze względu na naszą rodzinę, na moje dzieci. Może dlatego. Może nie chciała, żebyśmy cierpieli.

Poczułam się strasznie, gdy widziałam, jak jego kochanka siedzi i płacze, międląc w rękę swoje świadectwo pracy. Zabrałam je i chciałam zniszczyć. „Zostań” – poprosiłam. „Już dawno powinnam była stąd zniknąć” – odpowiedziała. Obiecała, że będziemy w kontakcie, a ja, że nikomu nie powiem o jej dziecku.

Chciałam ją przytulić. Wstałam i podeszłam, ale jakoś nie mogłam jej dotknąć. Ona chyba też nie chciała. Zostałyśmy obie z tym samym: z fragmentami wspomnień błyszczącymi jak kolorowe szkiełka z rozbitej butelki.

Dlaczego życie potrafi być tak strasznie smutne? I bolesne?

## *Luty*

*Drogi Pamiętniku, dzisiaj o przezroczystych kobietach.*

*Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że w dniu, w którym zostałam mamą, w tle zainicjował się pewien proces. Zaczęłam stawać się przezroczysta. Szłam przez miasto, dumnie wypinając brzuch, a jedyne osoby, które zwracały na mnie uwagę, zauważały, i czasem nawet się uśmiechnęły, to starsze panie lub inne mamusie. Gdy urodziłam Adusia, przy wózku zatrzymywały się wyłącznie kobiety. Zaglądały do środka, chwaliły, doradzały. Czasem wymieniliśmy kilka zdań, również na mój temat. Niestety, uwagi sprowadzały się głównie, o ile nie wyłącznie, do rad dotyczących karmienia, wstawania w nocy i tego, jak taka młoda mamusia ma sobie poradzić z maluszkiem.*

*Z drugim dzieckiem to zjawisko się pogłębiło. Zabierałam moją parkę na spacer, czasami jechaliśmy nad Wisłę albo na basen. Gdziekolwiek się z nimi pojawiałam, oprócz kobiet nikt mnie nie zauważał. Nawet gdy jakiś mężczyzna na moment zawiesił na mnie oko, zaraz któreś z dzieciaków, wiedzione dziwnym i tajemniczym instynktem, przybiegało i przytulało się do mnie, a męskie zainteresowanie znikало jak za dotknięciem magicznej różdżki.*

*Później, gdy dzieci dorosły, zaczęły chodzić do szkoły, a ja już nie spędzałam z nimi tak dużo czasu, wiele się zmieniło. Czasami byłam mamą, a czasami młodą, atrakcyjną kobietą.*

*Opracowałam dwa rodzaje wypadów po zakupy. Pierwszy: ten zwykły, czyli wyjazd samochodem, wygodny strój, kilka dużych*

toreb wielorazowego użytku, lista ze spisem potrzebnych rzeczy itd. Wpadałam do hipermarketu, ładowałam wózek jedzeniem i chemią, płaciłam, wracałam. Cały czas kompletnie przezroczysta. Nieraz dziwiłam się, że nikt nie wjechał we mnie wózkiem, gdy przemykałam alejkami sklepu.

Drugi typ wypadów był znacznie ciekawszy. Ubierałam się ładnie, układałam włosy, robiłam makijaż, kropelka perfum tu i ówdzie, wysoki obcas i nawet jakaś błyskotka. Jechałam do centrum handlowego i leniwie, noga za nogą, spacerowałam po butikach z ciuchami i galanterią. Potrafiłam godzinę oglądać jakąś torebkę, przymierzać buty, dobierać apaszkę do koloru sweterka. W tych rzadkich momentach przestawałam być niewidzialna. Ekspedientki skakały wokół mnie, bo czuły, że nie muszę oszczędzać. Na szczęście Jurek zawsze przymykał oko, gdy kupiłam sobie coś ładnego i bardzo kosztownego. W zasadzie odpowiadało mu to. Mówił, że mam dobrze wyglądać i godnie go reprezentować, więc nie skąpił funduszy.

Wychodziłam z butiku z kilkoma papierowymi torbami i uśmiechem rozjaśniającym moją twarz. Wtedy przyciągałam spojrzenia panów i nawet młodych chłopaków. Zerkali na mnie, czasem któryś puścił mi oczko, a kilka razy zdarzyło się nawet, że przysiedli się do stolika, gdy zmęczona zakupami piłam kawę w cukierni. Wtedy jedyną rzeczą, która stawała się zupełnie przezroczysta i niewidzialna, była moja ślubna obrączka. Wiele razy proponowano mi randkę, niezobowiązujące spotkania, a gdy odmawiałam, chociaż pikantne rozmowy w sieci.

Trwało to kilka ładnych lat. Nie zauważyłam momentu, w którym znów zaczął się proces stopniowego i systematycznego zanikania. Gdy się zorientowałam, miałam zaliczone trzydzieste czwarte urodziny i sporo delikatnych zmarszczek. Cienkie nitki wspomnień i przeżyć wyhaftowały na mojej twarzy smutną historię coraz bardziej niewidzialnej kobiety.

I wtedy z pomocą przyszła Lilka. Któregoś szalonego dnia zabrała mnie do Ostrawy na konsultację z chirurgiem plastycznym. Oczywiście nie miałam pojęcia, że jedziemy tam w tym celu. Gdy zaparkowała pod luksusowo wyglądającą kliniką, oświadczyłam,

że nigdzie nie idę. Nie wiem, jak udało się jej mnie tam zawlec, a potem namówić na zabieg.

Tydzień później obie to zrobiłyśmy. Ona wzięła niewielki kredyt, a ja dostałam pieniądze od Jurka. Zbliżały się wybory i stwierdził, że we mnie zainwestuje. Miałam lepiej wyglądać na plakatach i ulotkach. I wyglądałam.

Lekarze dokonali cudów. Gdy po miesiącu zeszła opuchlizna i sińce, a blizny pojaśniały, poszłam do kosmetyczki i poprosiłam o piękny makijaż. Wróciłam do domu. Dzieciaki nie mogły uwierzyć, że to ja. Aduś niedawno obchodził osiemnastkę, a gdy mnie ujrzał, krzyknął: „Mama, wyglądasz jak moja siostra bliźniaczka!”. Rozplakałam się, ale ostrożnie. Żeby się nie rozmazać. Przecież jeszcze jedna osoba nie miała okazji mnie zobaczyć.

Czekałam do północy na Jurka. Wrócił lekko wstawiony, pachnący seksem i damskimi perfumami. Przysiadł się do mnie, sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Przez chwilę badawczo mi się przyglądał. W końcu stwierdził, że „knedle”, jak pogardliwie określał Czechów, odwalily kawał porządnej roboty. Nagle złapał mnie za ramię i ścisnął dosyć mocno. „Wyglądasz nieźle, ale ciało nie to, co kiedyś. Rzadka jesteś i miękka. Brak ci jędrności”.

Rozplakałam się. Już nie ostrożnie.

To był ostatni raz, kiedy Jurek mnie dotknął.

I taka jestem. Rzadka, miękka i coraz bardziej przezroczysta.

Nawet książek nikt o nas nie pisze.

Przykre.



Kupka papierów z wdziękiem zsunęła się z biurka i rozścieliła po posadzce, podobna do cienkiej warstwy śniegu, która wczesnym rankiem pokryła cały Kraków. Basia zerwała się z krzesła, błyskawicznie zebrała dokumenty i wrzuciła je do plastikowej rynienki, uśmiechając się jak do niesfornego dziecka.

– I gdzie się wybieracie? – spytała, siadając z powrotem.

Było ciut lepiej. Kilka spraw się ułożyło. W zasadzie, można by rzec, że sporo się ułożyło. I to w dwa tygodnie. Lilka załatwiła

księgową, a dokładnie panią Terenię z zaufanego biura rachunkowego. Biuro Baški, czyli nowej szefowej klubu MEGA, odremontowała ekipa od Bogdana, a Karolina skończyła semestr z doskonałymi wynikami.

To ostatnie ucieszyło Basię najbardziej. Wystarczająco się nasłuchiwała o zgubnym wpływie rozwodów na psychikę dzieci. A tu nic. Zero. Karusia, wyluzowana jak zawsze, zaliczyła półrocze ze średnią pięć koma cztery, co było jednym z najlepszych tegorocznych rezultatów, i oczywiście osiągnięciem w jednym z najlepszych krakowskich liceów.

– Puk, puk... mogę? – Dobiegło od lekko uchylonych drzwi.

– Kasia? – Baśka podniosła wzrok znad komputera. – Hej.

Coś się stało?

Pracownice rzadko do niej zaglądały. Jeśli już, to w wyznaczonych godzinach, czyli o ósmej rano, przy tak zwanej małej odprawie, i czasami w południe, zapraszając szefową na kawałek ciasta albo coś smacznego, przyniesionego z domu na lunch.

– Mogę? – Katarzyna Łagosz skinęła głową. – Mam sprawę.

– Jasne. Wejź. – Baśka zamknęła klapę laptopa i oparła się o zagłówek fotela. – Siadaj. Co to za sprawa? – spytała.

– Szefowa, jest taki pomysł...

– Jaki? – Basia uniosła brwi, widząc rumieńce wpełzające powoli, acz wyraźnie na policzki Kasi.

– Ojej. Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Normalnie. Po polsku – zażartowała Baśka.

– Oglądałam wczoraj film, a raczej dokument. To było o kobietach, działo się w Indiach, i one tam się zebrały i założyły klub – wyrzuciła na bezdechu Kaśka. – I ten klub jest dla...

– Dla? – Basia postanowiła jej pomóc, widząc że się zacięła, i to skutecznie.

– Porzuconych kobiet, znaczy... takich tamtejszych rozwódek, wdów, samotnych matek i tak dalej.

– Aha.

– Jezu! – jęknęła Kaśka, przerażona wizją, że właśnie uraziła swoją pracodawczynię. – Przepraszam, ja naprawdę nie miałam na myśli...

– Wiem – przerwała Basia. – Nie jestem jedyną rozwódką na tym świecie. I co z tym klubem dla rozwódek, porzuconych i samotnych? – Puściła oczko do czerwonej jak burak pracownicy.

– I ten klub polega na tym... to znaczy jego działalność polega na tym, że te kobiety się tam zbierają i dają sobie wzajemnie wsparcie. Uczą się różnych rzeczy, doradzają sobie i tak dalej. I pomyślałam, że mogłybyśmy, to znaczy szefowa mogłaby taki klub założyć u nas. Tutaj. Mamy miejsce, jest wolna sala gimnastyczna i nawet jedno biuro, to po szefie, to znaczy po panu Jurku. – Kaśka z wrażenia zaczęła się powtarzać.

Miała ochotę palnąć sobie w głowę, gdy trzeci raz w swojej wypowiedzi usłyszała „to znaczy”, ale nie potrafiła się opanować. Nowa kierowniczka była równocześnie właścicielką klubu i wszyscy pracownicy ciągle czuli się nieswojo w jej towarzystwie. Znacznie łatwiej było, gdy Anita zarządzała klubem, bo młodziutka, zatrudniona tak samo jak oni i na dodatek bardzo bezpośrednia i otwarta.

– Uhm – mruknęła Basia. – Jak to widzisz tutaj? Na czym konkretnie miałyby polegać działalność tego stowarzyszenia?

– Mamy trenerów, więc to już spory plus. Jest sprzęt, są zabiegi. Wystarczyłoby załatwić jakąś wizażystkę, kogoś od włosów i stylizacji paznokci, no i jakiegoś psychologa? Przydałby się też prawnik. Raz w tygodniu organizowalibyśmy spotkania, na które przychodziłyby takie samotne kobiety i razem coś robiły. Uczyły się, jak zrobić fajny makijaż albo jak się lepiej ubierać.

– Rozumiem. A co z kosztem takich spotkań? Specjaliści, zwłaszcza dobrzy w swoim fachu, raczej nie pracują za darmo.

– No właśnie. – Kaśka zagryzła wargę. – Cały sens jest wtedy, gdy te kobiety, to znaczy uczestniczki, mogą skorzystać z tego za darmo. Za pieniądze nie znajdziemy wielu chętnych. Pomyślałam, że część spotkań może ktoś by nam zasponsorował. Nawet założyłam specjalną grupę na Facebooku i tam pytałam, czy znaleźliby się sponsorzy. Na razie nie ma wielkiego odzewu, ale to dobra reklama dla takich osób i na pewno kiedyś ktoś się zgłosi.

– Kasiu... – Baśka bezwiednie poprawiała włosy. – Muszę to przemyśleć. Pomysł jest fajny. Co do realizacji, może poczekajmy

do wiosny? Wczoraj dałam dwa ogłoszenia o pracę. Pilnie potrzebujemy nowej trenerki tanecznej, bo Ewelina za miesiąc odchodzi.

– Tak? Nie wiedziałam – stropiła się Kaśka. – Dlaczego?

– Spodziewa się dziecka.

– Naprawdę? Oj, to już wiem, skąd ten szybki ślub.

– A teraz to ty mnie zaskoczyłaś. Kiedy?

– W czerwcu. Jakoś w połowie. A szybko, bo Ewelina poznała narzeczonego w sylwestra.

– Rozumiem. – Baśka się uśmiechnęła. – Rzeczywiście szybko. Mam prośbę, nie mów nikomu o dziecku, skoro dotychczas wasza koleżanka się nie pochwaliła.

– Jasne – potaknęła Kasia.

– Okej, teraz może skupmy się na klubie. Dałam też drugie ogłoszenie. Przydałby się ktoś, żeby pomóc Sebastianowi. A gdyby jeszcze ten ktoś choć trochę siedział w rehabilitacji, byłoby rewelacyjnie. Rozumiesz. Zanim znajdę te dwie osoby, trochę potrwa.

– Rozumiem. Ale nie gniewa się szefowa, że to wymyśliłam?

– Nie. Mówiłam, pomysł fajny. Nie mówię nie.

– Jezu, jak super! – Kaśka plasnęła w dłonie. – Szefowa jest mega.

– Dziękuję. – Baśka parsknęła pod nosem. – A jak nazwiemy ten klub, gdy już powstanie?

– Już dawno wymyśliłam. To znaczy wczoraj. Klub MEGAmorfoza...



*Drogi Pamiętniku, dzisiaj o wspomnieniach.*

*Nie mam pojęcia, dlaczego mówi się: „okruszki wspomnień”, a później ładuje wielką historię, która powinna być co najmniej kremówką wspomnień, albo nawet tortem.*

*„Jurek i IKEA” to właśnie taki tort, choć zwykły. Nie piętrowy.*

*Jurek nie znosi(ł) tego sklepu. „To sklep dla biedoty: meble z kartonu lub pilśni i tandetne gadżety” – sarkał, przeglądając katalog, który ktoś zostawił w naszej skrzynce na listy. Mimo to*

chciałam je w końcu zobaczyć osobiście i na żywo. Wybrałam się z Lilką. Spacerowałyśmy po sklepie: Lilka zachwycona jak dziecko i ja z głową wypełnioną tym, co mówił Jurek.

Kupiłam sześć szklanek. Sześć musztardówek w promocji. Upchałam je w szafce nad okapem i zapomniałam o nich. Któregoś dnia Jurek je odkrył. Wszedł do sypialni z jedną z nich w dłoni i spytał, skąd mam takie fajne szklanki? Okazało się, że przez całe dzieciństwo pił z podobnych. Z niemalą satysfakcją powiedziałam, gdzie je kupiłam, a on z jeszcze większą satysfakcją pojechał naza-jutrz do IKEA i przywiózł do domu stół LACK. Poszedł do garażu i wrócił po kilku minutach z przepiłowaną na pół nogą stolika.

„Widzisz? W środku jest piłśń, a w blacie pewnie tektura. A może chcesz zamieszkać w kartonie? Tam pasują takie mebelki”. – Stał i potrzasał mi przed nosem czarnymi kikutami. W końcu rzucił je na podłogę, polecając spalić w kominku. Bez słowa zabrałam oba kawałki, a nazajutrz pojechałam do tego sklepu. Facet z działu reklamacji najpierw mnie wyśmiał. Powiedział, że to uszkodzenie mechaniczne dokonane „z premedytacją”, ale gdy się rozpłakałam i stałam tam, chlipiąc pod nosem jak jakaś kompletna idiotka, chyba mnie pożałował. Polecał na zaplecze i przyniósł dobrą nogę. Schowałam ją później na strychu razem z resztą, czyli stolikiem i trzema nogami. Wczoraj odszukałam to pudełko, skrzyłam stół i postawiłam w naszej małżeńskiej sypialni. Po tej stronie łóżka, na której zawsze spał mój mąż.

A szklaneczki? Wytłukły się.



– Jak mam coś z tego wybrać? – mamrotała pod nosem Baśka, grzebiąc w stosie podań o pracę.

Już trzy godziny zastanawiała się, co zrobić. Wczoraj poszło jak z płatka. Przyjęła nową pracownicę. Dziewczyna zdawała się idealna: młoda, atrakcyjna, pełna energii i z niezłym doświadczeniem. Pracowała za granicą, tam ukończyła kilka kursów fitness, między innymi *chi-ball*, *power-jogę* i nawet *jumping frog*, czyli aerobik na trampolinach. Na dodatek ogarniała pilates

i treningi holistyczne, a nawet liźnęła wiedzy o *Wearable Technology* i zamierzała ją wdrożyć w klubie Baški. Mało który krakowski klub oferował te techniki. Umowa z Justyną Siennik została podpisana i od poniedziałku nowa trenerka ruszała do pracy.

Jakby sukcesów było mało, powiodła się również druga rozmowa kwalifikacyjna z Żanetą Milek – dziewczyną, która miała pracować z doskoku, czyli kilka razy w tygodniu. Pozostał problem z trenerem ogólnym i z rehabilitantem. Basia jeszcze raz skrupulatnie przeglądała podania panów. Nie nastrajały optymistycznie. Połowa była bez zdjęć, choć Baška wyraźnie to określiła w ogłoszeniu, a nawet jeśli opatrzone podanie fotografią, z co drugiej uśmiechał się łysy troglodyta.

Od biedy dotychczasowa załoga jakoś sobie radziła, ale czasami, gdy na siłowni przebywało zbyt wielu klientów, zdarzały się między nimi konflikty, a nieliczne panie rezygnowały, zdegustowane zachowaniem młodych chłopaków wypełnionych testosteronem aż po szerokie karki.

Barbara wstała, uniosła ręce nad głowę i wyprostowała je, aż coś strzeliło w kościach. Postanowiła wypić kawę. Wyszła z biura, mijając po drodze kolejne drzwi gabinetów rehabilitacyjnych, solarium i przejścia do sali ze sprzętem gimnastycznym. W południe tylko te pierwsze były zajęte. Od początku miesiąca sporo osób zaczęło przychodzić na masaże i zabiegi. Tylko dlatego, że jakimś cudem Lilka załatwiła Bašce, a dokładnie jej klubowi, umowę z NFZ-em. Miała stare znajomości z kimś z ZUS-u, ten ktoś z kolejnym urzędasem, i tak się to szczęśliwie złożyło.

Baška uruchomiła ekspres, myśląc że też wypadaloby coś z nim zrobić, bo strasznie hałasował. Napełniła filiżankę, patrząc na uciążliwe urządzenie, które nawet po wypuszczeniu z siebie porcji espresso nadal burczało i rzęziło. Po chwili namysłu wrzuciła do filiżanki kostkę cukru, a za moment drugą. Lilka kazała ostatnio wejść Bašce na wagę i pokazać, ileż to zostało kochanego ciała jej drogiej przyjaciółki. No cóż, wynik nie był imponujący. Czwórka z przodu rozsierdziła Lilkę tym bardziej, że ona mogła pochwalić się siódemką. I na nic się zdały tłumaczenia, że wadze Baški tylko kilograma brakuje do pięćdziesięciu.

– Szefowo, ktoś do pani! – krzyknęła za jej plecami Julita.

Basia odwróciła się gwałtownie. Dobrze, że nie wylała kawy, którą właśnie mieszała. Nie słyszała, że Julita przysłała za nią do kuchni, a to, że przyprowadziła ze sobą gościa, jeszcze bardziej ją zaskoczyło. Przecież kuchnia to miejsce dla personelu, nie klientów, a tak wyglądał mężczyzna, a raczej młodzieniec stojący obok recepcjonistki.

– Dzień dobry – przywitał się od razu, gdy nań spojrzała. – Przepraszam za najście, słyszałem, że potrzebuje pani pracownika.

Zabrakło jej języka w gębie. Młody chłopak nie wyglądał na trenera, na rehabilitanta tym bardziej. Był dosyć szczupły i bardzo wysoki: górował nad Julitą i Basią o dobre trzydzieści centymetrów, na dodatek zakończone szopą bujnych i długich jasnobrązowych włosów. W klubie było ciepło, pewnie dlatego zdjął grubą puchówkę, którą trzymał w prawej ręce. Ale to nie kurtka przyciągała wzrok, a wyrazisty tatuaż przedstawiający węża i ciągnący się od dłoni aż pod krótki rękaw białej polówki.

– Dzień dobry – chrząknęła Baśka. – Tak, potrzebuję. Złożył pan podanie?

– Niestety, dopiero dzisiaj się dowiedziałem o naborze, więc przyjechałem osobiście.

– Przepraszam, szefowo, ale nikogo nie ma na recepcji – bąknęła Julita, choć z żalem. Spodobał się jej ten tajemniczy przystojniak, niestety, musiała wracać do siebie, a poza tym miała narzeczonego, o czym właśnie sobie przypomniała.

– Idź, idź. – Baśka od razu pokiwała głową. – Zapraszam pana do biura. A może kawy? – Nagle się zatrzymała.

– Dziękuję, ale już piłem.

Zaprowadziła gościa do gabinetu, klapnęła na swój fotel i wskazała mu miejsce na drugim, stojącym przed biurkiem, mówiąc, żeby kandydat spoczął. Ale nie spoczął. Staął przed nią i uśmiechnął się promiennie.

– Nie przedstawiłem się. Jestem Marcin Banaś, miło mi panią poznać. – Lekko skłonił głowę.

– A... tak. – Baśka od razu zerwała się z fotela, wyciągając do niego dłoń. – Barbara Maksymowska.

Już dawno nie czuła się tak skrępowana w obecności mężczyzny, więc popełniła kolejną gafę, a raczej niezręczność. Marcin Banaś dosyć mocno pochylił głowę, żeby pocałować dłoń Basi, a ta od razu się spięła, chciała mu przerwać i też się nachyliła, chcąc wysunąć rękę i być! Uderzyli się lekko czołami.

– Oj! Przepraszam. – Marcin od razu się wyprostował.

Domyślił się, gdzie popełnił błąd: właścicielka klubu MEGA widocznie nie przepadała za kontaktem dotykowym z nowo poznanymi mężczyznami. „Skończ z tą staromodną galanterią” – ochrzanił się w duchu.

– Nic się pani nie stało? – spytał.

– Nic – odpowiedziała szybko. – Proszę usiąść – ponowiła prośbę.

– To chyba najlepszy pomysł.

– Ma pan jakieś dokumenty? – zapytała, starając się zachować olimpijski spokój, choć wszystko w niej wrzało.

Wiedziała, że spiekła raka. Czuła jego szczypce na szyi i czubkach uszu. Piekły ją policzki, a skóra na czole mrowiła. Miała nieodpartą chęć pomasować to miejsce, ale była pewna, że pan Banaś natychmiast wróci do niefortunnej sytuacji sprzed chwili i znów zacznie się kajać.

– Tak. Tu jest wszystko. – Marcin wyjął z plecaka papierową teczkę i położył na biurku.

– Dziękuję.

– Mam prośbę, czy mogłaby pani od razu to przejrzeć? Nie ukrywam, że chciałbym się dowiedzieć, czy mam jakieś szanse. – Nerwowo przełknął ślinę.

Basia potaknęła.

Z ulgą otworzyła teczkę i wyjęła plik dokumentów. Przynajmniej nie musiała patrzeć na swojego gościa. Każdy papier przeglądała bardzo dokładnie. I z każdym kolejnym odczuwała coraz silniejszą ambiwalencję. Z jednej strony dorobek pana Banasia był imponujący, a z drugiej zastanawiała się, czy jeśli go przyjmie do pracy, zapomni kiedykolwiek o tym, co stało się kilka minut temu.

– Ma pan dwadzieścia sześć lat? – Podniosła na niego wzrok, chcąc się przekonać, czy jest równie skrępowany. Niestety, nie był.

– Tak – odpowiedział, łagodnie się uśmiechając.  
– Rozumiem – mruknęła, znów patrząc w jeden z dokumentów. – Skończył pan studia?

– Tak. Dołączyłem dyplom. Zrobiłem magistra z fizjoterapii i licencjat ze sportu. Oba kierunki na AWF-ie. Oprócz tego zaliczyłem szkolenie z pierwszej pomocy, kurs ratownika wodnego oraz dwuletni kurs rehabilitacji ruchowej na prywatnej uczelni.

Uniósł się z fotela, nachylił nad biurkiem, chwilę poszperał w teczce i podał Barbarze świadectwo ukończenia tego kursu.

– Dziękuję. A jak wygląda pana doświadczenie? – indagowała, klnąc w duchu, że w stosie papierów nie może zlokalizować życiorysu tego przystojnego kandydata.

– Tu jest lista. Głównie zajęcia dorywcze i pół roku za granicą. W Irlandii. – Znów wstał i podał jej dokument, myśląc że byłoby łatwiej, gdyby usiadł obok swojej potencjalnej pracodawczynie, zamiast co chwilę wstawać i siadać.

– Mam prośbę. Może zostawi mnie pan na chwilę samą? Zapoznam się z dokumentacją, bo jest jej sporo. Proszę iść do pani Julity, zrobi panu kawę i wskaże miejsce, gdzie można poczekać. Za kwadrans zapraszam ponownie. – Baśka aż się zasapała z wysiłku, mówiąc mu to wszystko na jednym oddechu.

– Oczywiście. Już znikam. – Marcin zerwał się z fotela i wyszedł.

Nie zamierzał szukać recepcjonistki. Zamknął za sobą drzwi, odszedł dwa metry od nich i usiadł pod ścianą. Zerknął na komórkę, żeby nie przegapić piętnastu minut, po czym wszedł na Facebooka. Przeglądał wiadomości, choć myślami nadal był w biurze właścicielki klubu MEGA. Miał wrażenie, że coś mu umknęło, ale nie wiedział co. Zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz Barbary Maksymowskiej.

Zaskoczyła go. Sądził, że będzie znacznie starsza. Pan Włodek, znajomy, który dał mu znać o tej robocie, mówił że Maksymowska ma dorosłe dzieci. Od razu wyobraził sobie zadbaną i postawną blond babkę w okolicach pięćdziesiątki, a nie szczupłą, drobnutką brunetkę z idealnie owalną twarzą, gładką cerą i wielkimi ciemnymi oczami jak u dziecka. Nie zauważył nawet tych charakterystycznych delikatnych zmarszczek, które tworzą

się wokół nich i pomyślał, że to chyba bardzo smutna kobieta, bo rzadko się uśmiecha. Miał nieodparte wrażenie, że gdzieś ją spotkał, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. W końcu potrząsnął głową, myśląc: „Jesteś głupi”. Wstał i zaczął spacerować po korytarzu, starając się stąpać bezszelestnie, żeby Maksymowska broń Boże go nie usłyszała.

Za każdym razem, gdy mijał drzwi gabinetu Barbary, na moment się zatrzymywał, próbując telepatycznie odkryć, co się za nimi dzieje. Niestety, bez efektu. Nie widział Baški, która jeszcze raz rozłożyła przed sobą dokumenty i powoli zapoznawała się z ich treścią, odkładając do teczki te, które już przeczytała.

– Można? – Uchylił drzwi po upływie kwadransa.

– Tak. Proszę usiąść. – Baśka lekko chrząknęła. – Zapoznałam się ze wszystkim i spróbujemy – powiedziała, zamykając teczkę.

– Mam pracę? Tak?

– Tak. Od razu mówię, praca w nienormowanym systemie godzinowym, więc proponuję umowę-zlecenie. Tu ma pan wszystkie informacje co do stawki, ubezpieczenia i innych warunków. – Podała mu gotową listę, którą sporządziła z Lilką.

Nie miała do tego głowy ani wiedzy. Dlatego przyjaciółka musiała jej pomóc. Baśka tysiąc razy dziękowała niebiosom, że trafił się jej taki skarb. Bez Lilki cały plan, żeby to ona samodzielnie zarządzała klubem, z pewnością spaliłby na panewce.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Marcin, nie wglądając się w szczegóły.

Pilnie potrzebował pracy. Poprzedni szef nie dość, że zatrudniał go na ćwierć etatu, mimo że chłopak pracował po dziesięć godzin dziennie, to jeszcze spóźniał się z wypłatą za ostatnie cztery miesiące. A czynsz trzeba było płacić. I raty kredytu na samochód też.

– Wobec tego proszę przyjść w poniedziałek o dziewiątej, podpisać umowę.

– Oczywiście. – Marcin uśmiechnął się szeroko. – Bardzo pani dziękuję.

Baśka wstała, więc i on natychmiast zerwał się z fotela. Tym razem uścisk ręki poszedł im sprawnie i bez kłopotliwych momentów.

– E... Muszę też podziękować panu Władkowi, bo to on mi dał znać o tej pracy. To pani sąsiad... Pracuje tutaj obok, w stacji diagnostycznej, jako mechanik. – Marcin wykonał nieokreślony ruch ręką.

– A! No tak! – Baśka się uśmiechnęła. – Faktycznie, ostatnio rozmawialiśmy i chyba mu mówiłam, że potrzebuję pracowników.

– Mój szwagier robi tu przeglądy i polecił mi ten zakład. Kiedyś zatrzasnąłem kluczyki i ten pan podjechał i wyjął je. Magik.

– Uhm – znów grzecznie potaknęła.

Banaś chciał powiedzieć coś miłego swojej nowej pracodawczyni, więc rozejrzał się wokół, szukając inspiracji. Na ścianie między oknami wisiało jakieś zdjęcie. Przybliżył się na krok, żeby lepiej widzieć, i zamarł.

Ze zdjęcia uśmiechała się ładna blondynka, ale to nie ona przyciągnęła jego wzrok, a młodzieniec stojący po jej prawej stronie.

– To moje pociechy. – Nie zauważył, kiedy szefowa znalazła się za jego plecami.

– Gratuluję. Widać, że świetne z nich dzieciaki. – Odwrócił wzrok od fotografii i spojrzał na Baškę.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się blado.

Nagle dostrzegła, że jej nowy pracownik dziwnie wygląda. Zmienił się na twarzy, jakby ujrzał ducha. Mięsień na jego policzku lekko drżał, a oddech wyraźnie przyspieszył. Baśka odruchowo zrobiła krok do tyłu.

– Miała pani kiedyś długie włosy? – spytał Marcin, marszcząc czoło.

– Słucham? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Przepraszam. Pytam, bo... są takie ładne. Gładkie i zdrowe. Szkoda obcinać takie włosy na krótko. Ja mam długie – przeciągnął ręką po swojej czuprynie – ale moje nie wyglądają tak zdrowo. Pewnie dlatego, że się kręczę.

– Aha – odpowiedziała Baśka, z wrażeń przetykając ślinę. – Tak, miałam długie, ale dawno temu.

Wystraszyła się nie na żarty. Przez moment myślała, że coś mu się stało w głowę, na dodatek zadał to idiotyczne pytanie o włosy. Na szczęście już się opanował, bo przestał się dziwnie

i dziko patrzeć, a jego oczy znów przybrały normalny wyraz. „Może jest jakimś psycholem?” – zadała sobie pytanie.

– Przepraszam, to przez stres. Bredzę jak potłuczony. – Uśmiechnęła się do Baśki.

– Pocieszę pana, też tak mam czasami – Odwzajemniła uśmiech, opierając się o blat biurka.

– Ale włosy naprawdę ma pani piękne. Żal patrzeć, że tak krótko je obcięto.

– Lubię wygodę. – Baśka odruchowo poprawiła fryzurę.

Od lat ścinała włosy prawie na męsko. Teraz i tak były wyjątkowo długie jak na nią, bo kończyły się równo z brodą.

– Jeśli kiedyś zmieni pani upodobania, proszę dać mi znać. Będę panią wspierał. Wiem, jak potrafi człowieka kusić, żeby iść do fryzjera i ciachnąć wszystko przy skórce.

– Pana chyba dawno nie kusiło – stwierdziła wesoło, patrząc na szopę włosów sięgającą aż do ramion. – Nie przeszkadzają?

– Nie. Gdy pracuję, spinam je.

– Uhm – mruknęła.

– Jeszcze raz przepraszam. Jakoś nie mogę stąd wyjść. Proszę mnie wyrzucić – orzekł Marcin.

– Nie gniewam się, ale faktycznie mam coś pilnego do zrobienia i muszę się tym zająć.

– Już mnie nie ma. Dziękuję i do zobaczenia w poniedziałek. – Marcin skłonił się lekko, odwrócił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Chryste, co to było?! – Baśka wypuściła z siebie powietrze.

Na miękkich nogach dotarła do fotela i plasnęła nań, aż zaskrzypiała skóra. Nie mogła uwierzyć, że ta rozmowa na końcu była tak niewiarygodnie głupia. „Jakieś gadki o włosach? Co to ma być?” – pytała samą siebie, klepiąc się w czoło.

Uśmiechnęła się na wspomnienie ich powitania, myśląc że pewnie przez to zderzenie głowami oboje pletli takie androny. Westchnęła głęboko, po czym sięgnęła po plik podań od kilku „chłopców-sterydowców” i z lubością zaczęła je wkładać do niszczarki. Przecież wspomniała, że ma coś pilnego do zrobienia...